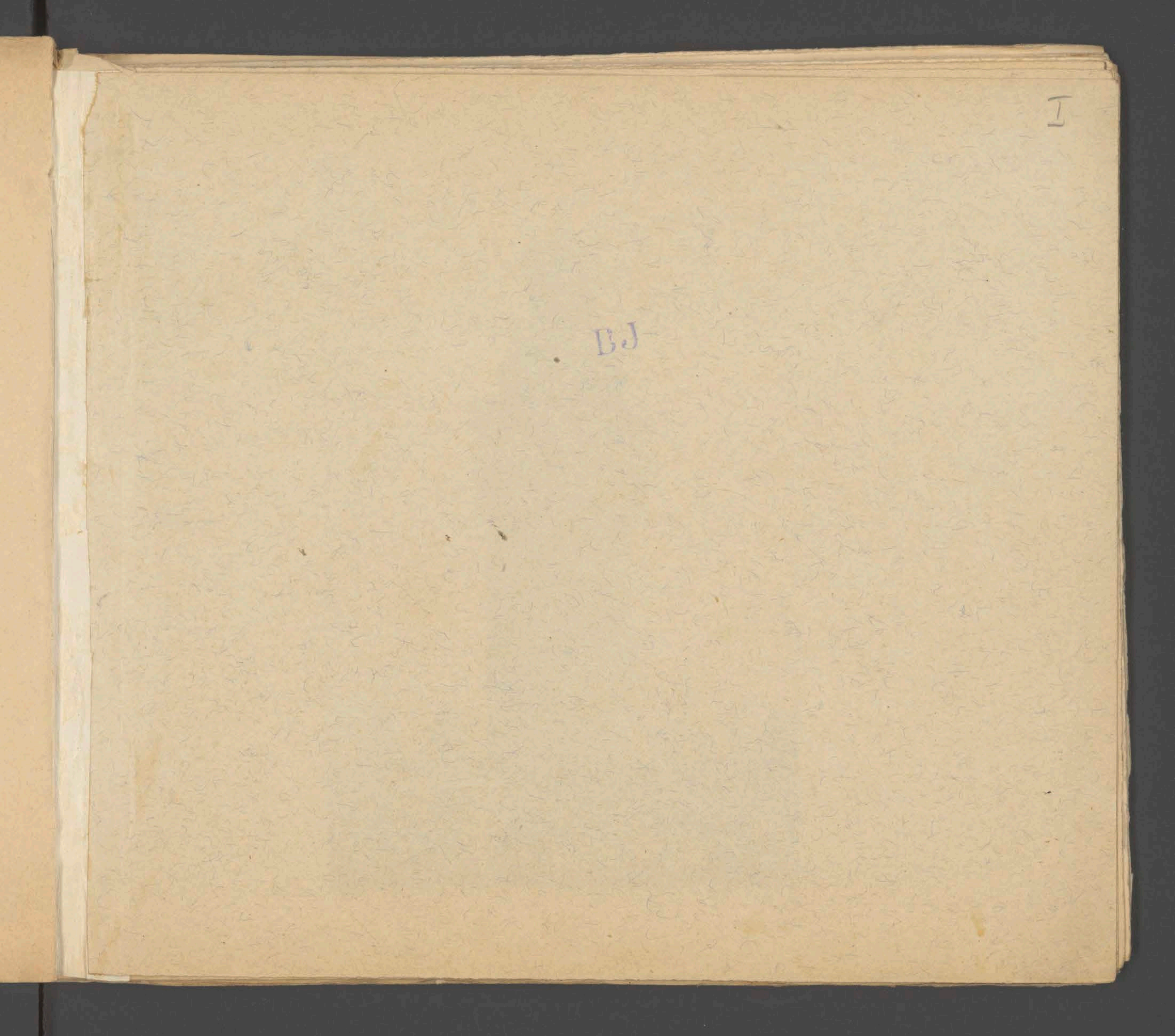
Niemcy.

r. 1854 – 55. –

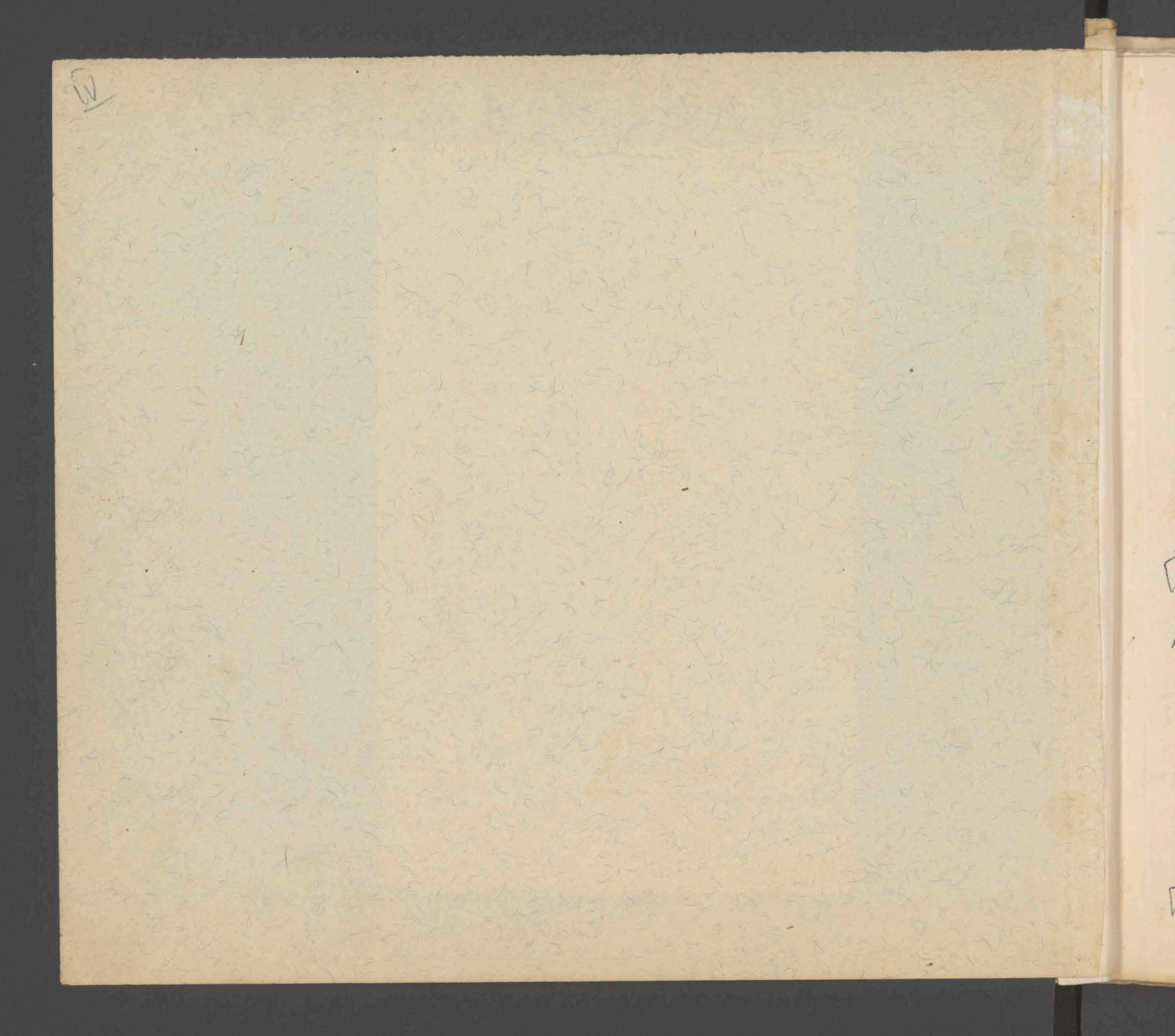
III.


I
BJ



LEIPZIG

Der Rathausturm



1.

Niemcy.

Zapisując wspomnienia z lat moich dziecinnych nie miałam wcale zamiaru opisywać mojego dwuletniego pobytu w Niemczech w r. 1854 i 55. Dziś, w r. 1919 pochwała dla Niemców, którzy — jak się to mówi — „wleźli nam już za dziesiątą skórę" nie chce mi iść pod pióro, przemagam jednak ten uzasadniony wstręt, nie tyle dla oddania im sprawiedliwości, ile dla wykazania kontrastu między czasem z przed lat 60 z górą a dzisiejszym i ile dla wykazania, czem może być Niemiec gdy chce, a czem jest w gruncie duszy, kiedy

może być sobą. Nie zamyślam też wcale opisywać wrażeń moich, dość silnych, z dwuletniego okresu, choć treści starczyłoby nawet na cały tom, lecz jestem tylko starą gadułą, obdarzoną ~~wierną~~ wierną pamięcią, a streszczać się muszę, bo czasu mi wiele nie już nie pozostaje...

Pierwszym etapem naszej podróży w końcu r. 1853 był Wrocław. Pamiętam, że z mocnego snu zbudził mnie zegar ratuszowy, wybijający godzinę 10tą i zaraz następująca pozegnywka na trąbie, taka sama zupełnie, jak z wieży Maryackiej w Krakowie. Zdziwiona wyskoczyłam z łóżka i pobiegłam do

okna, sądząc naważnie, że całodzienna prawie
podróż nasza była snem tylko ciężkim....
w tejże jednak chwili ujrzałam na obcej
mi ulicy stróża nocnego z halabardą i grze-
chotką, wprawdzie tak, jak u nas w Polsce,
ale śpiewającego przeciągłym, smętnym gło-
sem: Hör't ihr Herren und lasst euch sagen,
Zehne hat die Glock' geschlagen i t.d.
Powróciwszy do łóżka i przykrywszy głowę koł-
drą, zapłakałam rzewnie, tłumiąc szlochy
przed kochaną matką, która także raz po raz
nos wycierała... Nazajutrz wyjechałyśmy do
Lipska, gdzie już nie czułam się tak obcą,

gdyż wielce uprzejmi p.p. Dobrowiczowie oczekiwali nas na dworcu, i ułatwili nam pomieszczenie w pobliskim obok ich domu „Hôtel de Bavière" na Peterstrasse. P. Dobrowicz był właścicielem znanej polskiej księgarni w Lipsku i wydawcą dzieł polskich. – Następnego zaraz ranka, w dzień suchy, mroźny, lecz pogodny, zaraz po „Blümchenkaffee" poszłyśmy na mszę do pięknego, nowego kościoła katolickiego na Weststrasse, a stamtąd wprost już do Gerhardsgarten, przez który to ogród przepływa rzeka Elstera. Dziś jeszcze nie bez wzruszenia przypominam sobie tę chwilę i wrażenie na widok miejsca, w którem księ-

ię Józef Poniatowski poniósł śmierć bohaterską. W zupełnej ciszy, w odosobnieniu, uklękłyśmy z modlitwą za duszę jego i tych, co padli w wielkiej bitwie narodów. Skromny pomniczek nad Elsterą, tuż przy brzegu wystawiony, już nie pomnę przez kogo z Polaków, wskazuje miejsce katastrofy. O kilkanaście kroków od tegoż stoi jeszcze chińska altana, wyłożona kaflami porcelanowemi, świadek niemy ostatnich chwil naszego bohatera. Długo nie mogłyśmy się oderwać od tego uświęconego miejsca. Za rzeką, w blasku słonecznym, widniały lekko ośnieżone i bardzo rozległe pola wsi Lindenau.

Wiedząc, że w Gerhardsgarten znajduje się jeszcze drugi, okazalszy pomnik, poczęliśmy go poszukiwać, kiedy jakiś starszy człowiek, jak się pokazało - dozorca historycznych pamiątek, zgromadzonych w małym domku, wskazał nam drogę a potem uprzejmie otworzył nam drzwi do małego muzeum, mieszczącego pamiątki po ks. Poniatowskim. Niemiec z wielką uprzejmością tłomaczył nam coś szeroko i długo, ale obie nie mając języka niemieckiego, nie rozumiałyśmy nic zgoła, nie tracąc nic na tem, gdyż przedmioty same za siebie mówiły. Był tam czaprak aksamitny, malinowego koloru, bardzo

pięknie złotem i srebrem haftowany, siodło, jakieś fragmenty mundurów, wszystko już bardzo wyblakłe, piszczel nogi końskiej, a na ścianach kilka sztychów z podobizną ks. Józefa, albo przedstawiające chwilę wskakującego do rzeki; były jeszcze inne drobne przedmioty, lecz tylko powyżej wymienione zapamiętałam. Po zapisaniu się w księdze pamiątkowej, wyczajem w Polsce przyjętym, chciała matka moja, wychodząc, wcisnąć w łapę upozejmemu dozorcowi jakiś datek, lecz ten nie przyjął napiwku, mówiąc: Von polnischer Herrschaft wird nicht angenommen. Dozorca jeszcze odwiedzających to ciche i miłe ustronie, witane

zawsze po przyjacielsku przez dorożkarza-gadułę. Odrysowałam zaraz za pomocą bytności chińską altanę wraz z małym pomnickiem i posłałam rysuneczek wielce nieudałny mojemu ojcu, który do śmierci przechowywał to „arcydzieło" swojej jedynaczki. Dziś jeszcze jest rysuneczek ten w archiwum moich pamiątek i posłuży jako ilustracya do niniejszego pamiętnika, wprawdzie bardzo licha, ale świadcząca o dobrej chęci dziecka.

Powróciwszy do hotelu mocno dalekim spacerem zmęczone, położyłyśmy się po niemiecku jak na saską Schmalküche – obiedzie, dla odpoczynku, kiedy omawiając przedpołudniowe

wrażenia usłyszałyśmy na ulicy ogromny wrzask, wyrywający się z piersi chyba tysięcy ludzi. Przerażone pobiegłyśmy do okna, sądząc, że stało się jakieś nieszczęście, które spowodowało tumult. Na ulicy ujrzałyśmy zwartą masę ludzi, a w pośrodku zwolna posuwający się powóz, ciągniony przez kilkunastu — jak nam się zdawało — pajaców. Jakież było nasze zdumienie, gdy przed bramą hotelu stanawszy, wynieśli oni pojace na rękach jakąś dość tęgą imość przy akompaniamencie wrzasków publiczności: „Hoch Pepita de Oliwa!” Cała ta awantura była owacyą dla świeżo do Lipska przybyłej, słynnej tancerki,

hiszpańskiej Pepity, którą dotąd znaliśmy w Krakowie z licznych jej konterfektów, umieszczanych aż do znudzenia wszędzie, od pism illustrowanych poczawszy, aż do pudełek z zapałkami... W tym triumfalnym pochodzie, konie a raczej osły zastępowali studenci univers. lipskiego w swoich pozesmieszonych ubiorach. I pomyśleć, że to była owa kwintesencja niemieckiej kultury, przyszłe filozofy, uczeni, może nawet wielcy ludzie germańskiego szczepu. A tacy głupi i koncierni. Proszę sobie wyobrazić chłopów olbrzymów z ogromnemi turkinzami, w trykotach obcisłych, białych, w butach poza kolana, w kurtach krótkich z szamerunkiem,

ze sznura grubego, na głowach na wierzchu bujnych czupryn malutkie okrągłe pudełka czy spodki, naszywane paciorkami, u pasa wisząca wielka fajka i kapciuch, twarze zaś oblepione w różnych kierunkach paskami i kwadratami angielskiego, czarnego plasterka. Gdyby się na krakowskim Rynku taki burszniemiecki pokazał, tłum panów stoczyłby go niechybnie, biorąc go za pajaca cyrkowego. Pierwszy to raz widziałyśmy tęs chwały germańskiego narodu a matka moja, splunąwszy, zawołała: osły! gbury! Pepitę widziałyśmy następnie w teatrze. Była to już nieco za korpulentna, ale jeszcze urodziwa niewiasta, tańcząca z południowym temperamentem swoje

ludowe tańce, lecz baletniczką nazwać jej nie było można. Zdanie powyższe o tańcu Pepity wyrobiłam sobie dopiero w lat kilka, naówczas jednak głupiemu dziecku, które nigdy baletu nie widziało, wydała się tancerka ładnie ukostiumowana i pląsająca wesoło po scenie czemś wielce uroczem.
Lipsk wydał nam się wielkiem i pięknem miastem, zwłaszcza śródmieście z pięknym, starym, gotyckim ratuszem ładnie się przedstawia. Domy w starszych ulicach zdobią wielce t. zw. „erkery", których nawet po kilka niektóre domy posiadają. Kościoły wspaniałe, z katolickich na protestanckie przerobione, jak n. p. Nikolai- i Thomaskirche. W tym

ostatnim nasłuchałyśmy się przepięknych oratoryjów Mendelsohna, Bacha i in., świetnie wykonanych: W „Gewandhausie" lipskim koncertowali najpierwsi owocześni artyści.
Śródmieście Lipska otoczone jest promenadą, ale nie tak piękną i szeroką jak nasze krakowskie plantacye. Od strony zachodniej teren spada dosyć stromo ku rzece Pleisie, przez którą rzucone mostki wiodą do nowej części miasta, zabudowanej willami i pałacami potentatów handlu; wszystkie te rezydencye toną w pięknych ogródkach, pełnych kwiatów, co szerokim ulicom nadaje bardzo wdzięczny wygląd. —
Wynajęła matka moja 2 bardzo ładne i słoneczne pokoiki z usługą za 6 talarów (!) na miesiąc

u jakichś przedpotopowych „Biedermayerów". Gospodarz był litografem z zawodu, ludziska uprzejmi i grzeczni, bezdzietni, więc często w domu miałyśmy błogą ciszę. Matka moja, nienawidząca Niemców, uważająca ich za naród gburów, nie uznająca ani ich literatury, ani nawet ich muzyki (!) przyznać jednak musiała Saksończykom wogóle wielką uprzejmość, miłą spokojność i przyjacielskość. Przez cały czas pobytu w Niemczech nie doznałyśmy najmniejszej przykrości ani wyzysku. W sklepach spożywczych i na targach ceny były stałe i skrupulatnie zachowywane; sprzedający zachwalali swój towar, ale nie natrętnie i krzykliwie. Żadnych kłótni między

przekupniami, jak to zawsze miało miejsce
n. p. u nas na Szczepańskim placu, żadnych
słów obelżywych nie słyszałyśmy nigdy. Taniość
była wówczas wielka, a z wyjątkiem szkaradnego
masła, wszystko było w najlepszym gatunku
i dla każdego dostępne. Mięso wyborowe w naj-
mniejszych ilościach sprzedawano, także dzi-
czyznę i drób oskubany i oczyszczony, gotowy
do pieczenia. Kuchnia saska jest ogółem licha,
chuda i wodnista. Obiad nam przynoszono
z sąsiedniej restauracyi, czysto sporządzony
a nawet ładnie podany, ale sarna, jeleń i za-
jąc w sosie słodkim jak miód... Restauratorka
widząc, że unikamy zwierzyny, zaniechała nie-

niemieckiej przyprawy i dawała ją „auf polnische Art" ze śmietaną i sałatą lub kompotem. — W Lipsku, jako mieście handlowem, ruch uliczny był wielki ale nie gorączkowy; nikt tam nie pędził potrącając drugich, jak to się dziś u nas zdarza; na wszystko otrzymiec ma czas, zachowując się spokojnie. Nie widziało się tam ani szyszało wałęsających się, lub po kilku stojących godzinami ludzi, napełniających głośną gadaniną ulicę wokoło, jak również nie spotykało się dzieci, bawiących się na ulicy, hałasujących i gwizdzących. Do zabaw były w różnych dzielnicach miasta liczne „Spielplätze", albo podwórza, wówczas jeszcze w domach obszerne,

były miejscem zabaw dziecinnych zimą i latem. Stosunkowo do naszego ruchu wozowego hałasu nie było dużego. Bruk wszędzie wyborny, czysto utrzymany, wozy kolosalne, istne domy, gęsto kursowały dzień cały, ale zbudowane solidnie i należycie wysmarowane, nie skrzypiały. Przez miasto szły wozy wolno: kłus był wzbroniony a zakaz szanowany. Dorożkarze jeździli jak u nas za pogrzebem, co nas irytowało nieraz, ale Niemiec jest z natury „ein langsamer Peter" i na to rady nie było. Przypominam sobie, jak mnie zajmowały wozy do czyszczenia ulic. Były to ogromne walce, które zbierały błoto z trotuarów tak dokładnie, że można było zaraz suchą no-

gą przechodzić. Ola tę chwilę lubiłam czekać a matka żartowała sobie, straszac mnie, że mnie kiedy razem z błotem z miasta wyniosą. Oprócz wszystko pochłaniały uwagę moją wystawy księgarskie i t. zw. „Kunsthandlung", pełne prześlicznych sztychów i obrazów pięknych, bo obrazki i wszelkie ilustracye lubiłam nadzwyczajnie i byłam w stanie gapić się długie chwile na witryny, co moje małe towarzyszki a nawet matkę moją niecierpliwiło często. Zwiedzałyśmy wielką drukarnię Brockhausa, drukarnie mut. Breitkopfa i Härtla i różne zakłady litograficzne i drzeworytnicze. Wszędzie z wielką uprzejmością oprowadzano nas i tłuma-

czono działanie różnych machin i motorów.
Dotąd widywałam tylko pracę ogrodniczą i rolną.
Ta ostatnia wydawała mi się zawsze czemś roz-
kosznem. I chętnie sama, głupiuchne dziecko,
byłabym ujmowała kosę lub sierp, aby w polu
delektować się latem i śpiewem ptasząt. Tu
zaś, w centrach przemysłowych, pojęłam ciężką
pracę i mozoł tysięcy ludzi, zajętych wśród
ogłuszającego łoskotu dnie całe. Ludzie ci
jednak wykonywali wszystko tak zręcznie,
sprawnie a wesoło; prawda że nie znane były
wówczas dzisiejsze strajki i bunty robotnicze,
wyzysk i niechęci i walki z kapitalizmem.
Inne, lepsze to były czasy!... Wychodzące z pod
pras kamiennych druki, nuty, litografie i oleo-

wonyty, właściwie kolorowe obrazki wprawiały mnie w zdumienie; zdawało mi się to czaradem lub bajką. Pracowały tam dziewczęta, z których jedna ofiarowała mi obrazek jeszcze mokry ze słowami: „Dum studenkim" (bo studenki są zawsze sentymentalne) Zwiedziłyśmy także dzielnicę, zamieszkałą przez pracowników; śliczne domki z czystemi i słonecznemi pokoikami, w lecie tonące w ładnych ogródkach, starannie utrzymywanych.

W domu, w którym zamieszkałyśmy, zajmował I p. prof. akad. handl., Holender, p. Strakerian z rodziną. P.P. Strakerianowie mieli dwie córeczki, jedna w moim była wieku, druga o rok starsza —

nazywały się: Frida i Lotta. Miłe, wesołe a dobrze wychowane były to dziewczynki, zdrowe, czerstwe, o rysach pospolitych, ale niebrzydkie. Rychło się poznajomiliśmy z tą rodziną. Państwo L. mieszkali lat kilka na Jawie i innych wyspach, przemierzyli świat cały i mówili dobrze po francusku. Z dziewczynkami zaś porozumiewałam się jak to się mówi — jak szare gęsi z prosięciem, z początku łamaną tylko francuszczyzną. Panienki te dla oswojenia się z językiem niemieckim, uczęszczały do prywatnej szkoły, do której matka i mnie zapisała; miałam więc zaraz sympatyczne koleżanki. Za granicą dzieci chodzą same do szkoły; taki jest już zwyczaj że dzieci same na siebie uważać muszą. — Ja-

ko Polka, prędzej wyłamałam i przyswoiłam sobie język niemiecki niż Holenderki, którym ich miękka a ciężka wymowa stała na przeszkodzie. Obie panienki, jako pochodzące z kraju wodnistego, zamiłowane były w zabawach na wodzie w lecie a zimą na lodzie. Sport łyżwiarski nie był jeszcze na ów czas znany w Krakowie. Chłopcy ślizgali się na zamarzniętych rynsztokach w mieście albo na Wiśle a już za bohatera i godnego podziwu artystę był uważany szlubak, ślizgający się na jednej, do buta przywiązanej łyżwie(!) Można sobie więc wyobrazić mój zachwyt na widok wspaniałej areny lodowej w Lipsku, urządzonej znakomicie, gdzie od małych bębnów

aż do wiekowych już dam i panów suwało się
po lodzie tysiące ludzi, zręcznie i elegancko
wykonując iście karkołomne ewolucye. Moje
Holenderki gotowe były nauczyć mnie tego kun-
sztu i p.p. Strakczianowie usilnie prosili
matkę moją o pozwolenie na ten tak zdrowy
i przyjemny sport, obiecując sami czuwać nad
nauką, ale matka ani słyszeć o tem nie chciała,
bojąc się dla mnie zaziębienia, a nadewszystko
„zbicia nosa.” Wszelkie perswazye nie odniosły
skutku i zmuszoną byłam z bólem serca
przypatrywać się tylko igrzyskom tysięcy szczęśliw-
szych odemnie dzieci. Rozmyślając nad powo-
dem obaw matki o mój nos, badałam w lustrze
jego tak niby szacowny kształt i nie mogłam

wcale zrozumieć, dlaczego właśnie o tę część mojej twarzy tak mało chodzi, że mnie tak wielkiej pozbawia przyjemności. Nos mój, aczkolwiek już raz spłaszczony w upadku na posadzkę, nie był zdefigurowany wcale, ani mi się znowu tak pięknym nie wydawał, aby dla niego było warto pozbawiać się miłej zabawy i ponosić jakąś ofiarę — był to nos zupełnie normalny, lecz matka moja widocznie coś sobie do niego upatrzyła i krytykowała go nieraz, na co już ojciec mój kochany zwykle odpowiadał: Co chcesz od nosa chanc ? Dla porecie nos między oczami. — Całe życie żałowałam, że na łyżwach biegać się nie nauczyłam a może i zdrowie moje byłoby silniejsze i odporniej-

się na zimno.

Jarmark w Lipsku.

Lipsk w czasie wiosennego i jesiennego jarmarku światowego przybiera postać zupełnie inną. Zjazd kupców z całego świata dla handlowych transakcyi czyni to miasto istnem mrowiskiem. Ulice przedstawiają widok wielce urozmaicony, zwłaszcza barwnemi strojami ludzi ze Wschodu. W czasie jarmarku można też widzieć polskich żydków pejsatych w chałatach, ale ci trzymają się więcej swojej ulicy, t. zw. Brühl, zamieszkałej stale przez żydów niemieckich, utrzymywanej schludnie i czysto jak inne dzielnice. — Matka moja, przerażona

ruchem i zgiełkiem w mieście, oprócz do poblis-
kiej szkoły nigdzie mi wychodzić nie pozwa-
lała, z obawy, aby mnie nie przejechano albo
nie rozdeptano. Śmiały się z tych obaw kole-
żanki moje a starsi zapewniali o zupełnem
bezpieczeństwie, lecz nadaremnie. Czasem
tylko zapuszczała się matka ze mną na po-
bliski Rynek, zastawiony kramami, t. zw.
„Groschenbuden", pełnemi drobnych towarów,
w których każdy przedmiot kosztował „Silber-
groschen", czyli 6 groszy polsk. Mnóstwo drob-
nostek, nęcących oko dziecka, miało — jak
się łatwo domyślić — i dla mnie powab wiel-
ki. Wszystkie sienie domów w Rynku i przy-
legających do tegoż ulicach obwieszone były

obrazkami różnej wartości. Wracając ze szkoły z wielkiem zajęciem gapiłam się na bezwartościowe, kolorowane bohomazy, na podobizny cesarzowej Eugenii, Elżbiety i królowej Wiktoryi, które wydały mi się być cudami piękności. Był to rok wojny Krymskiej, więc mnóstwo portretów cara Mikołaja I, cesarza Napoleona III, sułtana Omer-Paszy i innych wodzów. Spóźniałam się nieraz na obiad, aby choć mimochodem spojrzeć na tyle rzeczy zajmujących. Największą jednak atrakcyą dla mnie były w bramach domów beczki z kapeluszami dla lalek. Kapelusze były słomiane lub filcowe, wszelkiej wielkości,

od maleńkich jak pół łupiny laskowego orzecha aż do prawie dziecinnego kapelusika, a wolno było, wybierając, zatapiać rękę w głąb beczki, co dzieciom największą sprawiało uciechę.
Pod koniec jarmarku wszystkie szkoły miały 3 dni t. zw. „Messferien". Wtedy to w towarzystwie i pod opieką cierpliwej p. Strakerian gonnetowskie już zwiedzałam różne osobliwości, jak cyrki, woskowe figury, menażerye, dziwolągi natury jak olbrzymy i karły i t. p. nadzwyczajności. Biedna moja matka, nie mająca najmniejszej przyjemności w tych widowiskach, które wszystkie

nazywała hecą, poświęcała się nieraz dlatego jedynie, aby mnie pilnować, czemu się dziwić nie można było, widząc olbrzymi plac, zwany Rossmarkt, pełen cyrków i bud ogromnych a także ludzi taką masę, że jabłko po głowach potoczyć było można, mnóstwo wykrzykujących pośród budami pajaców, zachwalających produkcye nadzwyczajne przy akompaniamencie katarynek, trąb i rozdzierających uszy muzyk. Więcej jak jeden raz nie, dałyśmy się na tę wątpliwą przyjemność namówić, matka a nawet i ja wolałyśmy teatr, operę lub balet, zwłaszcza że co tylko Europa wybitniejszego z talentów

posiadała, zjawiało się na czas jarmarku w Lipsku.
Widziałam też w lecie niemiecki kiermasz we wsi Lindenau. Niemcy bawią się spokojnie, przy kuflach piwa, zajadając butterbrod, ser i ulubiony przysmak, placek z kruszyną. U naszej mleczarki byłyśmy suto podejmowane z wielką serdecznością. Podziwiałyśmy dom i całe gospodarskie obejście, czyste i schludne, izby mieszkalne duże, widne, dostatnio umeblowane, w oknach moc kwiatów a ogródki śliczne. Pomyślałyśmy z bólem serca o naszych dymnych chatach i gnojówkach, zadając sobie pytanie, czy kiedy u nas lepiej

będzie?..
Piekarnie w Niemczech sprzedają pieczywo przez okno, t. zw. „Schalter" w oszklonej ścianie, a nie – jak to u nas na miejscu – przy otwartych drzwiach, przez co pieczywo się zanieczyszcza i wilgnie. Wypiekają w wszystkich piekarniach wyborne placki z serem, t. zwane „Osterfladen", w lecie placki ze śliwkami na francuskiem cieście, zimą zaś „Speckkuchen" na kruchym albo drożdżowym spodzie, wprost wyśmienite, codzień świeże a wszystko tanie i smaczne nadzwyczaj. Natomiast w cukierniach są tylko ciastka słodkie i wykwintne z kremem i konfitu-

rami; tam też podają herbatę, czekoladę lub kakao, poncz i zimne napoje, lody i t. zw. „Baumkuchen”, duma i chluba Niemców. Na święta B. Narodz. wypiekano strucle słodkie z rodzynkami, plecione tak jak i u nas bywały, posypane cukrem; zwano je „Stolle”. Na tydzień przed temi świętami odbywał się „Weihnachtsmarkt” na rynku. Oprócz istnego lasu drzewek zielonych, sprzedawano także sztuczne, wielce brzydkie jakieś, z gołych, suchych patyków, ubrane świeczkami i łańcuchami z papieru kolorowego. Wystawy sklepowe jaśniały w tym okresie czasu wspaniałością, zwłaszcza księgarskie, nęciły oczy dzieci.

Starzy i młodzi obdarzali się wzajemnie podarunkami.
Nasi gospodarze, choć bezdzietni, mieli też pięknie przystrojone drzewko a nam ofiarowali smaczną i piękną struclę; matka moja przyrządziła zupę migdałową i karpia po polsku, którymi to potrawami Niemcy się ufetowali szczerze.
Mimo tych zawracających głowę dziecinną rozmaitości, w głębi duszy tęskniłyśmy za naszym obyczajem polskim, za kolędami i Pasterką a nadewszystko za rodziną i domem, za kochanymi najbliższymi, którzy pierwszy raz w życiu nie siadali z nami do stołu i

nie przesłaniali opłatka – smutno nam było na obcej ziemi... Poczciwe Holenderki, same wykolejone, pojęły moje łzy, od których powstrzymać się nie mogłam i same też się rozbeczały nad wspólnym naszym losem, później się jednak uspokoiły, mając ojca przy sobie, a mnie ojca i braci brakło i myśl ustawicznie do nich, do Krakowa wybiegała.

Teatr w Lipsku.

Teatr miejski w Lipsku był gmachem brzydkim, zbudowanym bez żadnego stylu, ale był obszerny, służył dla dramatu i opery. Bywałyśmy tylko na operach włoskich, gdyż – jak już wyżej nadmieniłam – matka moja

niemieckiej muzyki nie uznawała, choć już wówczas przedstawiano Wagnerowskiego „Lohengrina" i „Tannhaüsera" w znakomitej obsadzie. Matkę moją raziły n.p. takie szczegóły jak to, że w scenach tkliwych i duetach, amant brał swoją lubą prawą ręką za bary, co matka za niemiecką ordynarność poczytywała, uważając, że dosyć by było ująć bogdankę za rękę. Ja nie zastanawiałam się wcale nad tą kwestyą, cieszyła mnie piękna muzyka, kostiumy i dekoracye, a już zachwycał balet. Co ty wiesz głuptasku — mawiała matka — trzeba żebyś słyszała i widziała operę warszawską z Dobrskim i Troschlem, albo balet, najpiękniejszy w świecie a nie te opasłe divy i teno-

ry z boruszkami i zwaliste balatnice, pod którymi dziś rosną.
Teatr w Lipsku był tani; miejsce numerowane na II galerji w I. rzędzie kosztowało pół talara czyli 15 „Silbergroschen". Następne miejsca były nienumerowane. Publiczność, uczęszczająca na miejsca nienumerowane wystawała przed teatrem „w ogonku" nieraz i godzinę a dostawszy się na godzinę przed rozpoczęciem przedstawienia do wnętrza, zaznaczano swoje miejsca położeniem bądź jakiego przedmiotu, n. p. lornetki, rękawiczki, chustki do nosa i t. p. i wychodzono jeszcze z teatru. Przed samem przedstawieniem powracano i zajmowano założone miejsca bez żad-

nych zatargów, gdyż nigdy nie zdarzyło się, by ktoś inny zarezerwowane w ten sposób miejsce zajął.

Porządek i czystość niemiecka.

Zamiłowanie Niemców w czystości i porządku, uważane w Polsce wprost za manię i przesadę a nawet przez samych Niemców w pismach humorystycznych często wyśmiewane t. z. „Reinemachen", przy bliższem rozpatrzeniu nie wydaje się wcale przesadnem; przeciwnie, w wielu razach godne byłyby naśladowania sposoby, z jakiemi niemieckie sługi biorą się n. p. do wszelkiego mycia i czyszczenia. Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że raz zrobiony porządek dłu-

go zachować umie. Wszelkie rzucanie odpadków kuchennych koło siebie na ziemię albo przed piec, chowanie rzeczy nieosuszonych do szaf i t. p. tak często u nas zdarzające się złe przywyczki są Żydówkom nie znane, więc sobotnie „Reinemachen" starczy na tydzień, podczas gdy u nas ciężkim wysiłkiem uskutecznionego szorowania w poniedziałek już nieraz niema śladu... Do mycia podłóg i stołków drewnianych używają Żydówki białego piasku, czasem mydła, co wzięte na rękawicę z bardzo grubego białego sukna zastępuje szczotkę doskonale; kubeł zimnej wody i dwie grube ścierki dopełniają przyboru.
Z zazdrością patrzyłyśmy z matką na ten spo-

sób mycia, nie zamieniający kuchni w chwilowe jezioro i powodujący wilgoć, tak zdrowiu samych sług szkodliwą. Wielkiem ułatwieniem w procedurze mycia jest co prawda gładkość i piękność wyrobów bednarskich; to istne cacka, spoiste, białe, z obręczami mosiężnemi, zakończonemi misternie naśladowaniem rzemienia ze sprzączką. Statki takie można było widzieć tak w mieście jak i w wiejskich chatach. Dziś (w r. 1920) jeszcze nasze bednarskie wyroby na placu Groble przypominają czasy Piasta i Rzepichy. Nie będę też opisywać licznych już na ów czas udogodnień kuchennych, które i do nas po pół wieku dotarły

po części, ale ileż to trudu kosztowało nieraz gospodynią domu przekonywanie konserwatywnej sługi o praktyczności danego sposobu. „Mieszczańskie wymysły" bywała zwykle odpowiedź nadąsanej służącej.

Weimar.

Dojeżdżając do Weimaru matka moja z cie-
kawością wyglądała ukazania się miasta
zwanego pod koniec 18go i na początku 19go
stulecia niemieckiemi Atenami. Ja też,
sądząc po ślicznych miasteczkach Turyngii,
których widokiem choć tylko z okien wagonu
zachwycałam się, ciekawą byłam zobaczyć
stolicę W. Księstwa Weimar-Eisenach. Jakież
było nasze zdziwienie, kiedy stanął pociąg
na stacyi Weimar w szczerem polu a miasta
ani śladu nie było. W dali widniały wioski
i wzgórza, pokryte pięknymi lasami. Po
10 minutach powolnej jazdy dorożką zapyta-

Tam woźnicę jak daleko i w której stronie znajduje się Weimar. Ten więc wskazał biczem na chorągiewkę ukazującą się w polu i rzekł: „Wir sind bald in der Stadt." Rzeczywiście po takowej chorągiewce ukazał się krzyż na wieży kościoła farnego a zjeżdżając dość nagle z góry znaleźliśmy się w środku miasta. W hotelu „Zum Elefanten", gdzie mieszkał w r. 1829 Mickiewicz z Odyńcem, miejsca nie było, więc stanęliśmy „Zum Erbprinzen" jakimś starym, skromnym ale schludnym hoteliku. Koadjutor wypocząwszy w ciszy zupełnej, podążyliśmy do kościoła farnego. (katolickiego nie było). Zastaliśmy kościół

zamknięty, jak to jest w dni powszednie zwy-
czaj u protestantów. Usłużny „Küster" zoczywszy
cudzoziemki, zaraz otworzył kościół bardzo
stary z wspaniałym tryptykiem, dziełem
Łukasza Cranacha, dziś już nie pomnę
co przedstawiającym, utkwiły mi tylko
w pamięci figury jasnokościste, niemiłosier-
nie wydłużone, z okropnie wysokiemi czoła-
mi i palcami, zakończonemi poprostu
w igłę. Za głupia jeszcze byłam, aby oce-
nić arcydzieło staro-niemieckiej szkoły.
Weimar wydał nam się obumarłem mias-
tem, martwota i cisza panowała zupełna,
ludzie z rzadka tylko snuli się po dosyć

pokaźnie zabudowanych ulicach, nie brakło nawet i pięknych gmachów. Zamek książęcy, stary lecz dość banalny czworobok dwupiętrowy, którego część czwartą stanowią sztachety z bramą wjazdową na wielkie podwórze. Budynek położony jest tuż nad rzeką Ilmą, przez którą rzucony jest most, łączący miasto z ogromnym parkiem, ładnie utrzymanym lecz wilgotnym i dziwnie - mimo piękności i wspaniałości drzew - smutnym. Miasto położone w kotlinie, otoczone wielkiemi lasami, mało zaludnione i czyste, ma powietrze dobre. Po fabrycznym Lipsku wyczuwamy zaraz tę różnicę. Krążąc po pustych ulicach śródmieścia - znalazłyśmy

się na małym placyku przed skromnym, jednopiętrowym gmachem teatru, przed którym na wspólnym piedestale stały spiżowe postacie Schillera i Göthego, podające sobie przyjaźnie dłonie. Obaj, tak różni przecie postacią i duchem, stali tu jakby na straży narodowej sztuki a stali nie nadarmo, gdyż scena weimarska uchodziła w owym czasie za pierwszorzędną w Niemczech. Gmach teatru był zamknięty; cisza i pustka wokoło. Afisz opiewał na mające się odbyć trzecie przedstawienie Lohengrina, ale na drzwiach wiodących do kasy widniało złowrogie dla nas słowo: „ausverkauft.” Posiliwszy się i rozgrzawszy wyborną czekoladą i kremowemi

ciastkami w nadwornej cukierni (w Weimarze wszystko jest nadworne) postanowiłyśmy odłożyć zwiedzanie domów Schillera i Göthego a wcześniej zająć się za pogrzebem mieszkaniem, w czem nam się poszczęściło zupełnie. W ulicy Łabędziej, położonej nieco poza miastem, zabudowanej tylko z jednej strony (drugą zajmowały ogrody pogrzebne) na drzwiach ładnego domu spostrzegłyśmy upragniony napis: „Logis zu vermiethen!" Właściciele, zajmujący parter domu, odnajmowali duży pokój o 2 oknach, słoneczny, skromnie lecz wygodnie umeblowany, z przedpokojem i usługą za 8 talarów miesięcznie. Gospodyni wydała nam się sympatyczną i chętną. Powracając do ho-

tem o południowej godzinie, zadziwione byłyśmy ilością powracającej ze szkół młodzieży, która jak pszczoły z ula wysypała się na ulicę, hoża, wesoła, czysto i dostatnio odziana; poweselało też miasto.
Po południu, wyruszywszy z manatkami na nowe mieszkanie, zdziwione byłyśmy istną falą ludzi wszelkiego wieku i stanu, podążających z łyżwami w ręku w stronę ul: Łabędziej. Mijały nas wspaniałe sanie z porzepiękną uprzężą i rączemi rumakami. W saniach siedziały damy strojne w drogie futra; woźnica nasz objaśnił nas, że to są ekwipaże dworskie, zdążające także na staw Łabędzi, leżący na końcu ulicy, gdzie jest

wybornie urządzona ślizgawka, a latem ulubione miejsce bliższych wycieczek, do lasku sosnowego i dodał z pewną dumą że obecnie przybyło wiele obcych dla przedstawień Lohengrina, że w zamku goszczą i koronowane głowy, że bawi też chwilowo List u księżnej Wittgenstein i różnych udzielił nam stary gaduła mniej lub więcej ciekawych wiadomości.

Zaledwie stanęłyśmy na miejscu, wybiegła fertyczna służąca Klara z ładną panienką, która zgrabnie dygnąwszy przedstawiła nam się jako Anna Hart, zainstalowała nas w pokoju przyjemnie ogrzanym i ze słowami „angenehme Ruhe" ulotniła się zaraz, zostawiając służącą do dyspozycyi na-

szej i pomocy w rozpakowaniu kufra. Miła panienka, zwłaszcza Klara i śnieżnej białości wygodne posłanie, wszystko razem sprawiło nader dobre wrażenie. Ale jakieś licho skusiło mnie zapytać kim jest gospodarz i ile jeszcze dzieci posiada? „Dzieci jest czworo a p. Hart jest pierwszym skrzypkiem nadwornej teatralnej orkiestry." Ta niespodziewana wiadomość na matkę moją, szukającą spokoju podziałała wprost odurzająco. Mieć czworo dzieci i skrzypka – choćby nawet Paganiniego – za doraźnie, to klęska. Klara, widząc nasze zaniepokojenie zapewniła nas że w domu panuje spokój, że jest „mäuschenstill" gdyż 3 pokoje dzielą nas od dziecinnego pokoju a p. Hart muzykuje

w ogrodowym domku, stojącym zdala. Rzeczywiście noc miałyśmy spokojną a jak się później pokazało był on nietylko artystą dużej miary, ale także człowiekiem, miłującym ludzkość, skoro obrał sobie ustronne miejsce do wszelkiego rzępolenia, aby nie trapić swoich lokatorów. Jakaż to rzadka cnota! Wiadomo przecie, że najbezwzględniejszymi z ludzi są muzycy, którzy nie troszcząc się o sąsiadów grzmocą ile i kiedy chcą. — Po tym fałszywym alarmie ułożyło się życie nasze bardzo przyjemnie. W salonie, przytykającym do naszego pokoju muzykowano tylko raz na miesiąc i tylko do 10tej wieczorem, a na fortepianie paryskim dozwolono nam grywać bez dopłaty, z czego

korzystałyśmy dyskretnie, grając tylko godzinę dziennie.

Przez protekcję naszego gospodarza dostałyśmy tego dnia jeszcze dwa miejsca na przedstawienie Lohengrina. Sala teatru choć skromna ale wcale duża, i dwupiętrowa jaśniała światłem i elegancką publicznością. Loża dworska pełna była gości. Wielka księżna Zofia, z domu królewna holenderska, osoba młoda jeszcze, lecz nieładna i niepozorna; Wielki książę Karol Aleks. człowiek mierny, rudy i piegowaty ale postawny; dwoje starszych dzieci, syn i córka w wieku lat 11-12 również byli rudzi. Widocznie ojciec i dzieci wdali się urodą w swego dziadka i pradziad-

ka cara Pawła I, nie odziedziczywszy nic z urody Maryi Pawłówny, matki W. Księcia, która mimo sędziwego wieku zachowała ślady urody niepospolitej a nam wydała się sympatyczną przez podobieństwo do przyjaciółki domu naszego, p. Zaleskiej, o której na początku niniejszych pamiętników już wspominałam. — Widziałyśmy Lohengrina w Lipsku, lecz dopiero weimarskie przedstawienie dało nam poznać piękność i wspaniałość tej opery. Ja, choć głupie dziecko zupełnie oczarowana się czułam tak bajecznym czarem wystawy jak i czarem śpiewu Elsy i Lohengrina, które to sola wykonali artyści, młode małżeństwo v. Milde. Oboje młodzi i piękni, szlachetnej byli postawy,

aktorowie znakomici, cudownym obdarzeni gło-
sem. Po pierwszym akcie jakby ze snu miłego
obudzona zapytałam matkę moją: „no cóż
mamusiu?" — lecz matka milczała. Dziś są-
dzę, że w duszy jej przełamywało się uprze-
dzenie do niemieckiej muzyki w ogólności
a w szczególności do Wagnera. W antraktach
nie klaskano; dopiero po skończeniu tej
czarownej baśni, rozpętał się zapał publicz-
ności, nastąpiła wspaniała owacya kwia-
towa, nawet orkiestrę osypano gradem bu-
kiecików, które biły w łysinę dyrygenta.
Marya Pawłówna, dla swej głuchoty zapewne
siedząca w loży parterowej tuż przy scenie,
podała Elzie śliczny wieniec, a towarzysząca
jej młodziutka Rosyanka Lohengrinowi

wspaniały bukiet, w których to kwiatach kryły się — jak nam później opowiadała wszystkowiedząca Emma Hart — kryły się kosztowne perły i brylanty. Wychodząc z teatru rzekła matka moja: „Po takiem przedstawieniu można się z Weimarem i z Wagnerem pogodzić."

Z czworga dzieci p. p. Hartów od lat 16 – 4, najstarszy był tęgim matematykiem i naturą poważną (matka moja nazywała go kandydatem teologii) i był pierwszym uczniem w swej klasie. Emma w przeciwieństwie do brata była żywa i wesoła, pełna fantazyi, odznaczała się zadziwiającą pamięcią a od czasu, jak z rozkazu srogiego Gesslera Wilhelm Tell zestrzelił grającej

rolę jego syna jabłko z głowy, co podobno pięknie się udało, poczuła w sobie talent i powołanie do sceny. Z łatwością uczyła się długich niezmiernie tyrad z tragedyi „Joanny d'Arc", „Maryi Stuart" i Grillparzera „Ahnfrau" i t. p. Miała też wielki dar naśladowania. Mnie to wszystko śmieszyło, ale matka moja utrzymywała, że Anna posiada nerw sceniczny i będzie kiedyś tragiczką wielką. Hartowie żartem zbywali wysokie aspiracye córki, używając ich tylko jako zachęty do zezwolenia na wyrwanie podwójnego przedniego zęba, który był przeszkodą w wyrazistości mowy. Biedna Anna z tego powodu wpadała się między

cierpieniem fizycznem a moralnem. Anna była chorowitą córką Franciszka Liszta, ale ten genialny Pan papa nie tchnął w nią ani iskierki swego talentu. Wszystkie dzieci Hartów nie uczyły się grać, gdyż ojciec zadecydował, że w domu swoim nie mógłby fuszerki ~~f~~ muzycznej, jako obrazy wielkiej sztuki. Cała czwórka Harcików była wielce sympatyczna, dobrze w karności wychowana. Zlubiliśmy się wzajemnie a matka moja, tak bardzo ostrożna w wyborze towarzyszek dla mnie, rada była dobrym dzieciom, zwłaszcza żywej i inteligentnej Annie, która mnie rozśmieszać i rozweselić potrafiła.

Ojciec pani Hart, emerytowany kamerdyner w księżny Maryi Pawłówny, starzec

korepki jeszcze, był w domu wielce użytecznym. W zimie chodził z wnukami na ślizgawkę, porabiał lekcye z wnuczkami, latem pracował w ogrodzie, zapędzając do tego zajęcia całą rodzinę. Za młodych lat przemierzył, towarzysząc swej pani, całą niemal Europę, znał wszystkie prawie dwory wraz z ich tajemnicami... Mówił kilkoma obcymi językami, ale źle. Najbardziej zachwycał się Rosyą; miał z Petersburga, który kilkakrotnie odwiedzał, bardzo miłe wspomnienia i ubóstwiał cara Mikołaja, podziwiał kulturę (?) Rosyi, wspaniałe zbiory i biblioteki w carskich zamkach i wielce był zdziwiony, kiedy matka

moją, porzerywając jego hymny pochwalne objaśniła go, że zbiory i biblioteki wywiezione są z Polski. O Polsce wiedział niewiele, lecz bytność Mickiewicza z Odyńcem w Weimarze doskonale pamiętał, zowiąc ich „zwei feine und noble Herren". Musiał też i on mieć z owego czasu nader miłe wspomnienia, bo mawiał zawsze z westchnieniem: „Ja, es war damals für Weimar eine brillante Zeit." — Grosspapa — jak go wszyscy w domu nazywali, miał w swojem mieszkaniu istne muzeum, złożone z darów wielkich tego świata, ofiarowanych wiernemu słudze w księżny Weimarskiej. W pięknej oszklonej szafce

ułożone były liczne zegarki złote z łańcusz-
kami, pierścionki, ozdobne fajki, srebrne
i piankowe cygarniczki, szpilki z drogich
kamieni a najwięcej wyrobów kaukazkich
pięknej, artystycznej roboty i mnóstwo wszel-
kiego rodzaju drobiazgów. Na szafce umiesz-
czony był wspaniały tulski samowar, dar
którejś z w. księżnych rosyjskich, u. b. ni-
gdy w domu z pietyzmu nie używany, wresz-
cie ozdobnie wypisany przez staruszka
spis tych skarbów wraz z nazwiskami
ofiarodawców.
Na wszystkie wieczory muzyczne otrzyma-
łyśmy od Hartów zaproszenie. Korzystały-
śmy tylko z dwóch, innych słuchałyśmy

przez drzwi naszego pokoju, otworzywszy
pierwsze od naszej strony a siedząc wygodnie
delektowałyśmy się wyborną muzyką ka-
meralną i śpiewem znakomitych artystów.—
Wywdzięczając się za używanie fortepianu,
matka moja udzielała lekcyi języka fran-
cuskiego żonie, więc po moich lekcyach,
powróciwszy ze szkoły w południe dziewczyn-
ka zasiadała ze mną do nauki; była bar-
dzo pojętną, tylko wymowa pozostawiała wie-
le do życzenia. Widocznie żona, choć cór-
ka znakomitego muzyka i chrzestna cór-
ka Liszta nie miała wcale słuchu.— Oprócz
godziny muzyki popołudnie miałam wolne,
stosownie do życzenia ojca mego, który
w każdym liście wspominał abym nad

książką zbyt nie ślęczała.
Ledwie w teatrze zakończył się cykl wagnerowskich przedstawień, Weimar począł czynić wielkie przygotowania do obchodu 50letniej rocznicy przyjazdu w księżny matki do Weimaru. Zewsząd zjechały się koronowane głowy i główki, miasto się wielce ożywiło. Byłyśmy na galowem przedstawieniu w teatrze wspaniale udekorowanym. Oprócz 3 królów z żonami, byli też liczni książęta, Rzeszy, wszyscy strojni i ubrylantowani. Jubilatka ukazała się w białej atlasowej sukni do gorsu, przybranej główkami piór strusich, naszyjnik i dyadem z bajecznie pięknych pereł dopełniał ubioru. Śliczna staruszka

wyglądała i wydała nam się ładniejszą od córek: Augusty, księżnej pruskiej (późniejszej cesarzowej niemieckiej i księżnej

Jubilatkę uczczono powstaniem z miejsc i oklaskami, podniesiono kurtynę a na scenie cały zespół operowy wykonał kantatę. Orkiestrą dyrygował Franciszek List, ubrany w długi, ciasny frak, lakier pończochy do kolan i trzewiki płytkie z ~~lakiero~~ brylantowemi sprzączkami. Postać mistrza imponująca, głowa charakterystyczna, czupryna siwiejąca odrzucona z czoła i spadająca w lekkich kędziorach, rysy wydatne i bystre oczy czyniły tę postać bardzo interesującą. Po kantacie przedstawiono wysławienie ja-

kież wyjątki z opery i dramatu. List za-
raz po kantacie, zaproszony do dworskiej
loży zasiadł między nadskakującymi mu
możnymi tego świata. Dziś po latach 66
od owej uroczystości „Rapsodya” Liszta porę-
trwała chwałę tych „dynastów” dumnych
a ich dzieci i wnuki, siedząc kątem
gdzieś na obczyźnie, rozmyślają nad
zmiennością doli....

Sic transit gloria mundi!
Po tych uroczystościach zapanowała cisza
w stolicy, żyjącej tylko tradycyą dawnej
świetności i wspomnieniami epoki wielkich
wieszczów niemieckich. — Zebratyśmy się
na zwiedzanie Schillerowskausu i domu

Göthego, za miastem położonego, o ile pamiętam, na końcu zabudowującej się ulicy, zwanej „Esplanade". Mieszkanie Schillera na 2 piętrze nader skromne się nam wydało. Łóżko porządnie szerokie z kapą pokryte, szafy z książkami, kilka krzeseł, fotel i biurko, przy którem pracował, kałamarz i pióro, kilka sztychów na ścianie — ot i wszystko, ale widok tej skromnej siedziby robi na zwiedzających dziwnie podniosłe wrażenie; stąpa się cicho, aby nie spłoszyć ducha, który — zda się — jeszcze tu gości. Matka moja doznała tego uczucia, jak się sama przyznała.
Dom Göthego, stojący poza miastem, poprzedtem był to obszerny, parterowy budynek, tyl-

ko środek ponad wejściem miał jedno piętro.
Pokoje duże, umeblowane ładnie, a bez prze-
ładowania; piękne obrazy zdobiły ściany;
gdzieniegdzie posążki z marmuru i bronzu
dopełniały wykwintnego i harmonijnego
urządzenia. Z wielkich okien był ładny wi-
dok na starannie utrzymany ogród. To
wszystko co zapamiętałam i jako dziecko
zauważyłam. Jak dziś sądzę, była to rezyden-
cya godna genialnego poety, filozofa, myśli-
ciela i dworskiego dygnitarza, człowieka,
któremu szczęściło się w życiu, z wyjątkiem
wychowania jedynego syna no i w 80tym roku
życia, nieodwzajemnionej miłości ku Hermio-
nie von Preuschen... — dla której z mu-

zykalnych zebrań u naszych gospodarzy obiecał się bawiący wówczas w Weimarze Franciszek Liszt, co z radością oznajmiła nam ciocia, prosząc usilnie abyśmy na herbatę przybyły. Takie przyjęcia bywały skromne – podawano wyborne domowe ciastka, lecz herbatę wprost lurę! Właśnie ojciec mój kochany przysłał nam był transport herbaty rosyjskiej, więc matka postanowiła uczynić zamach na samowar Grosspapy. Staruszek zżymał się. „Jakto – zawołała matka – to pan żałujesz samowara i dobrej herbaty takiemu genialnemu artyście i chrzestnemu ojcu swojej ukochanej wnuczki?" Ten argument poskutkował. Przed wieczorem Grosspapa z bijącem zapewne sercem zdjął z szafy

ki samowar po jego conajmniej kilkunastoletnim pobyciu a kiedy niósł tę cenną relikwię starsze wnuczęta, żartujące sobie czasem ze słabości dziadunia, podpierały go pod ręce, młodsze otwierały a ja z matką zamykałyśmy pochód celebransa do kuchni, gdzie z zaleceniem wszelkich ostrożności cenny przedmiot z objaśnieniem użycia oddano nieco strwożonej Klarze do wygotowania. Matka moja, oceniając ofiarę dziadunia, zaofiarowała naszą rosyjską herbatę, której przyrządzenia sama się podjęła. Kiedy goście zgromadzili się już w salonie i na mistrza Liszta czekano aby rozpocząć jakieś trio, kiedy wreszcie Klara nalała już wodę do samowara, wręczono pani Hart bilecik od Liszta

z wiadomością, że przybyć dziś nie może i prosi, aby na niego nie czekano. Nie pomnę już jaki podał powód. Ominęła nas więc sposobność poznania osobiście wielkiego artysty, przed którym znowu p.p. Hart chcieli się moją matką a może i wyborną herbatą pochwalić. Z czem się moja szczebiotliwa ciotka zdradziła przed nami. Spędziliśmy wieczór nader przyjemnie przy znakomitem wykonaniu pięknego programu i cudownym śpiewie małżonków v. Milde, z którymi nadto matka moja mogła rozmówić się po francusku. Oboje piękni, światowi a choć tak młodzi jeszcze, już sławni wówczas w Europie a później i w Ameryce. Szczypta herbaty sowicie

nam się opłaciła a wyborny i nader rzadki ten nektar uzyskał u gości niemniejsze uznanie niż sonata Beethovena i arje p. p. v. Milde. Grosspapa się udobruchał i odtąd samowar na miesięcznych zebraniach się ukazywał.

Jakoś pod koniec marca przynosząca nam bułki i śmietankę Klara wpadła poruszona wcześniej niż zwykle do nas ze słowami: „Kaiser Nikolaus ist gestorben." Jako dziecko nie znałam się — jak łatwo się domyślić — na polityce, ale tyle już wiedziałam, że Moskal jest najzacięlszym wrogiem naszym a car Mikołaj despotą. Matka moja, wiedząc jakie nadzieje Polacy

przywiązywali do wyniku wojny krymskiej, była tą wiadomością poruszona, ale w innym sposobie niż to pojmowała, najwierniejsza sługa, do dynastyi swoich władców przywiązana. Zdziwiła się też, że tak ozięble przyjęli inni wiadomość o śmierci cara. „Das ganze Haus ist in Trauer." dodała. Rzeczywiście ruch niemały zapanował w całym domu. Pani Haot przykrawała krepowe przepaski do żałoby, pan Haot rzucił się w gałę i poszedł zapisać swą kondolencyę w zamku a potem zbierać muzyczną drużynę dla wykonania jakiegoś rekwiem w kościele. Ona do w. księżnej matki a siostry cara wielce przywiązanej szczerze pragnęła dać wyraz współczucia jej żałości. Aż córki dopiero

mówić o żalu Grosspapy, który zapomnieć nie mógł czasów, przeżytych na dworze cara Mikołaja. Odwołano przedstawienie w teatrze, panie dworskie poprzywdziały czepce krepowe à la Marie Stuart, spadające szpicem aż do nasady nosa, w czem młodym było do twarzy, ale starym nadawało wygląd sowy. Po żałobnej uroczystości popadł Weimar w dawną martwotę na czas jakiś, dopiero wiosenne prace w licznych ogrodach nadały mu nieco ruchu. Z początkiem lata przeniósł się dwór i jego satelici do letnich rezydencyi: Ettersburga i Belvederu.

Zdaje się, że Weimar i życie towarzyskie w niem, jak je ślicznie i sympatycznie

opisał Odyniec w swych listach, były to już ostatnie blaski zachodzącego słońca świetnej epoki Weimaru. Era Bismarka, zjednoczenie Niemiec po r. 1870, niby czasy chwały, uczyniły w. księstwo Weimar-Eisenach, tak jak inne księstwa Rzeszy wasalem Prus.
Po rozpadnięciu się cesarstwa niemieckiego w r. 1918, książęcy zamek służył już tylko za chwilowe schronienie się rządu przed rewolucyą.

Z 3.

Turyngia.

Erfurt nad rzeką Gerą jest największem miastem w pięknej Turyngii; w ślicznej, lesistej, lekko górzystej leży okolicy. Miasto stare, posiada bardzo piękną architekturę, zwłaszcza dużo bram, widocznie niegdyś przy obronnych murach, różne malownicze zakątki z domkami małemi lecz wysokiemi o ładnych fasadach, zakończonych „Giebeldachem", z których zwieszają się po murach pnące rośliny. U małych okienek przytwierdzone są kosze kwiatów, całe lato kwitnących; wszędzie tak swojsko, miło i schludnie. Niemcy tylko mają na określenie tego uroku nazwę „heim-

lich," która to nazwa przetłumaczyć się nie da, ale się ją uczuwa.

16 Erfurt posiada 16 kościołów, których połowę po reformacyi przerobiono na protestanckie. Największą ozdobą miasta jest wznosząca się na skalistem wzgórzu wspaniała katedra i tuż obok równie piękny kościół św. Seweryna. Obie świątynie połączone są wiodącemi do nich schodami kamiennemi ogromnej szerokości, ze wzgórza, dominującego nad miastem, piękny jest widok na wielki plac, jak i na dalszą, ładną okolicę. Dzwon na wieży katedry uchodził za największy w Niemczech, dopóki po r. 1870 nie przerósł go dzwon katedry kolońskiej, ulany z armat zdobytych na

Francuzach. Erfurtski dzwon jest wielkości naszego Zygmunta i głosem go przypomina. Na placu katedry (Domplatz) jak i na większych ulicach przeprowadzone są kanały metrowej szerokości, przez które przepływa nadzwyczaj bystro czysta woda! Z trotoarów prowadzą przez kanały co kilka domów zgrabne mostki na środek ulicy. W lecie ta bieżąca, wartka woda wielce ochładza powietrze. Bliskie lasy stanowią urocze spacery. Z tych, wzgórze Steiger upamiętnione jest pobytem Napoleona I. w r. 1813; wznosi się tu obelisk kamienny. Z tego miejsca cesarz N. kombinował plan podejścia pod Lipsk, nie przewidując może, że czeka go już wkrótce pogrom i odwrót. —

Wiadomo, że Erfurt posiada wspaniałe zakłady ogrodnicze i prowadzi handel kwiatowy i eksport nasion na całą Europę. Ogrodnicy Topf i Schmidt były to już w r. 1855 słynne firmy i do dziś (w r. 1920) egzystują. Zaproszone przez uprzejmą moją koleżankę, Schmidtównę zwiedziłyśmy w piękny, letni dzień cały zakład, położony za miastem; była to wieś i miasto zarazem. Ogromny kompleks domów, otoczonych polem i ogrodami kwiatowemi i warzywnemi. Istne mrowie ludzi pracowało tam. Podogrodnicy, ogrodnicy, nadogrodnicy, zbieraczki nasion, ekspedytorowie i ekspedytorki, szwaczki worków i t. p. pracowników legiony. Pracuje też mnóstwo kobiet, zwłaszcza dziewcząt,

nawet małych. W ogromnych salach sortują one nasiona, czyszczą je i nasypują w różnej wielkości woreczki, kapsułki papierowe lub pudełka. Praca wre w każdym zakątku, a idzie szybko i sprawnie, bez ponaglania, każdy pełni swój obowiązek. Wszyscy robotnicy i robotnice noszą fartuchy płócienne ciemno-niebieskie. A jakże opisać owe łany krasnych i wonnych kwiatów, porywających oczy. W całej pełni kwitły wtenczas goździki, mieczyki i naparstniki w najwspanialszych odmianach. Do oglądania tych kwiatów podano nam szkła powiększające. Widok wnętrza ich w zachwyt mnie wprawił cudowną delikatnością rysunku i żywością barw. Znałam te kwiaty już z naszego ogródka, ale nie tak

rozmaite. Jakaż przyroda jest artystką, tworząc takie cuda. Mnie, dziecku wydawał się każdy kielich kwiatu jakąś świątynią wspaniałą... Zachwyt nasz przerwała uprzejma właścicielka zakładu, zapraszając nas po kilkogodzinnem zwiedzaniu do swojej willi na podwieczorek, składający się z ciast domowych, owoców i jakiegoś zimnego napoju. Willa urządzona była bardzo gustownie, bez wszelkiej dorobkiewiczowskiej pretensyonalności. Był to dom co się zowie kulturalny, gospodarstwo uprzejmi, to też pół dnia zeszło nam nader przyjemnie. Na zapytanie matki mojej czy cały ten zastęp pracowników, jakiśmy widziały, czynny jest i w zimie, odpowiedziano że tak. Zi-

ną jest praca przy cieplarniach, ekspedycji kwiatów świeżych, szycie worków różnej wielkości (naówczas jeszcze ręczne) kartonaż pudełek, lepienie kapsułek do nasion, i t. p. zajęcia. Napatrzywszy się i nasłuchawszy ciekawych rzeczy z miłem wrażeniem opuściłyśmy willę Schmidtów, którzy nas swoim powozem odwieźć kazali a koleżanka Zofia towarzyszyła nam aż do domu. Gdyśmy miały wsiadać do pojazdu, zaszedł zbiorymi wagon, zaprzężony w parę perszeronów, odwożący przesyłki na dworzec kolei.

Opisałam tu tylko jeden z głównych zakładów ogrodniczych; był też drugi równie wielki Topfa i wiele pomniejszych. Ten wielki przemysł był bogactwem miasta Erfurtu

już w r. 1855. Po bytności w zakładzie Schmid-
ta opanowała mnie chęć posiadania szkła
powiększającego. Długi czas molestowałam
matkę o kupienie mi tegoż i wielką była
radość moja, kiedy dobra matka wręczyła
mi przedmiot upragniony ze słowami: „niech
ci się, Maniu, świat" zawsze tak pięknym
wyda jak wnętrze kwiatów. Otrzymaną
w darze małą lupę nosiłam długo w kie-
szeni, badając wszystko co mi pod oczy
podpadło i w umyśle dziecięcym powstała
myśl, że nie wszystko tak czarownem jest
przy bliższem badaniu jak czar roślinności.
Tu przypomina mi się odpowiedź matki, dana
mi we wcześniejszem dzieciństwie na zapyta-
nie moje, dlaczego patrząc przez lornetkę

teatralną widzi się z jednej strony wszystko bliższe a z drugiej dalsze i mniejsze, matka odpowiedziała żartobliwie: „Dlatego żebyśmy przez szkła przybliżające i powiększające patrzyli na ludzkie zalety a przez oddalające i pomniejszające na ludzkie wady." Tę swojego rodzaju naukę optyki pojęłam później stosując ją w życiu i sądzę, że mniejsze pamiętniki z tej przyczyny wypadły nadto optymistycznie, a co za tem idzie, nieco mdło jak na czasy i smak obecny. Widocznie naukę zawarta w słowach matki, wzięła w duszy mojej górę nad rozczarowaniami, których w życiu mojem długiem nie brakło.

Kościół otoczony ogrodami miał powietrze zdrowe, zwłaszcza w letnie wieczory lub po deszczu

oddychało się tam balsamiczną wonią kwiatów, pomieszką zapachu warzywa, który to zapach przypominał nam trochę naszą drawną Wieś pod Krakowem (ale nie dziś w 1920 r., gęsto zaludnioną i niechlujną podmiejską osadę, pozbawioną powabu sielskości.)
Erfurt przed reformacyą posiadał liczne i bogate klasztory. U Augustyanów przez lat kilka przebywał Luther. Niemcy z dumą pokazują celę, w której reformator snuł swoje odszczepieńcze plany. Erfurtscy ewangielicy obchodzą corocznie 11 listopada t. zw. „Martinsfest", wylegając o zmierzchu na ulice z lampionami różnego kształtu, osadzonemi na wysokich drążkach i biegając, śpiewają następującą piosnkę:

Martin, Martin, Martin, war ein braver Mann.
Brennt so viele Lichter an.
Dass er oben sehen kann
Was er Gutes hat gethan.

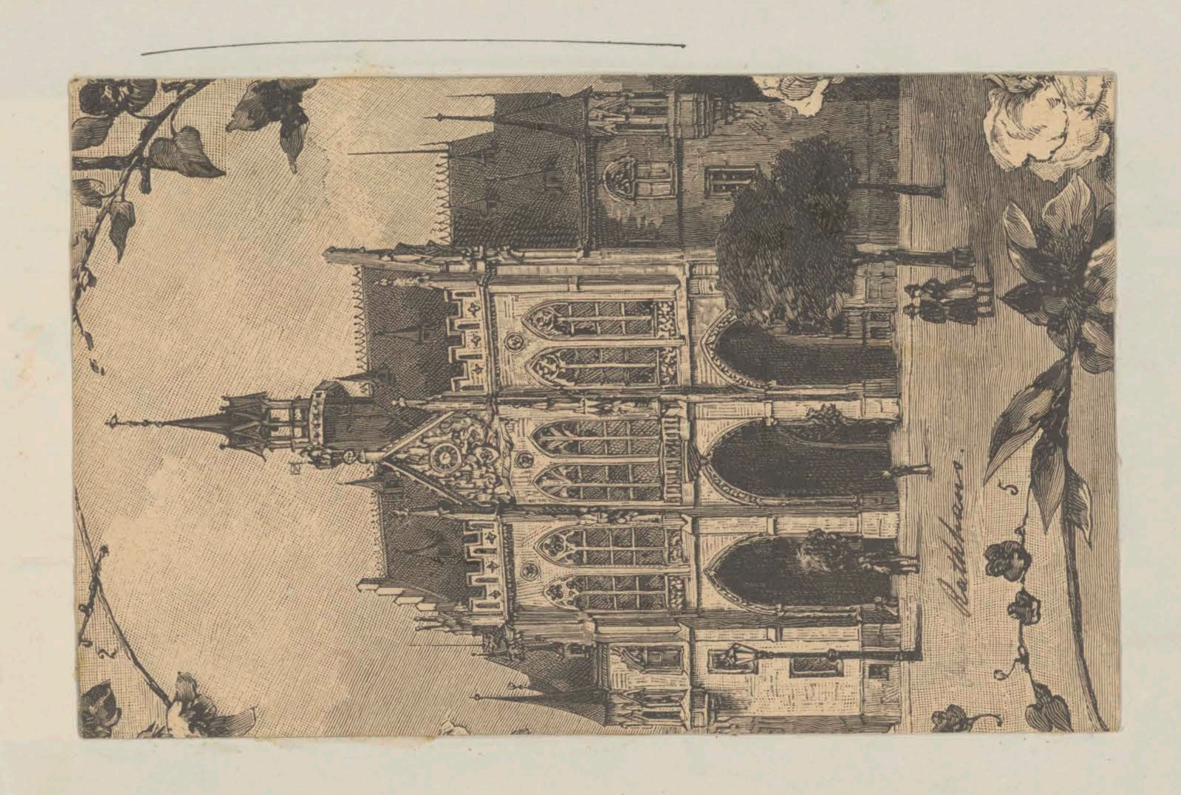
Katolicka młodzież zaś, trawestując powyższą piosnkę, odpowiada:

Martin, Martin, Martin, war ein böser Mann.
Brennt so viele Lichter an.
Dass er unten sehen kann
Was er schlimmes hat gethan...

Mimo tego antagonizmu religijnego nie przychodziło nigdy do jakichś ekscesów między młodzieżą. – Takiego wieczora o zmroku siedziałyśmy z matką gawędząc, całkiem zapomniawszy o Martinsfeście, kiedy nagle

rozjaśniło się w pokoju, a w oknie ukazała się kolosalna wprost głowa z twarzą niemieckiego „Kladderadatscha", o karykaturalnie szerokiej gębie, uśmiechając się do nas. Była to wielka dynia, z wybornie narysowaną podobizną „Kladderadatscha" (nazwa i nagłówek znanego satyrycznego pisma). W środku dyni osadzona świeca, doskonale uwydatniała rysy pociesznej karykatury, która osadzona na długiej żerdzi zaglądała swobodnie do okien. Trzeba przyznać, że widok kilkudziesięciu tysięcy różnokolorowych, czasem bardzo dowcipnie pomyślanych latarni, wirujących po placach i ulicach, wśród wesołego rozgwaru, był bar-

dzo zajmujący i malowniczy. Z uderzeniem północnej godziny nastawała cisza –




Dom u. Severkirche

Klasztor S.S. Urszulanek w Erfurcie

Znając już nieźle język niemiecki, zaczęłam uczęszczać do klasy III zakładu S.S. Urszulanek w Erfurcie, udzielającym nauk tylko przychodnim panienkom. Było to budynek bardzo stary wraz z kościołem dość nisko w ziemię zapadłym, o grubych murach, wyglądający na fortecę średniowieczną. W starej części klasztoru na parterze mieściła się t. zw. „Armenschule", a w nowym, jasnym, 2 piętrowym budynku, urządzonym już według wymagań nowocześniejszych znajdowała się szkoła dla panienek z inteligen-

cye, było też kilka z polskiej arystokracyi, które dziś zwalibyśmy „junkerkami”... ale wówczas nie były one wcale dumne i nadęte pychą, przeciwnie, łączyły się z mieszczkami najserdeczniej. W gronie nowych koleżanek stałam się dlaczego interesującą jako nowość i jedyna cudzoziemka, a nadto Polka, o którym to kraju dziewczęta niemieckie albo żadnego, albo dziwne miały pojęcia. Przełożoną mojej klasy była matka Dominika, osoba licząca około 30 lat, przystojna, hoża, o rysach dosyć pospolitych i świetnej cerze, lecz na twarzy jej nigdy nie pojawił się

uśmiech, a całe jej zachowanie było niezwykle poważne; była surową lecz sprawiedliwą i sumienną nauczycielką. Uczennice drżały ze strachu przed jej naganą i starały się w przedmiotach przez nią wykładanych, nie zaniedbywać.

Od chwili wstępu mojego do klasy koleżanki poczęły mnie nagabywać, abym im co po polsku powiedziała. Ich natarczywe prośby nie odnosiły skutku, gdyż obawiałam się, aby Niemki nie krytykowały naszej mowy. Nie dały one za wygraną i zdobyły się na czyn heroiczny, do którego inicjatywę dały koleżanki z mojej, to jest z pierwszej ławki. Które-

gosdnia, ledwie pojawiła się matka Dominika na katedrze, wystąpiły z uczennice: p. v. Lettwitz i p. v. Breren, w delegacyi od klasy do matki Dominiki z prośbą, aby wpłynęła na mnie i ich dotąd daremne prośby poprzeć zechciała. Siedząc wprost vis-à-vis zakonnicy, zauważyłam, że po wysłuchaniu delegatek twarz matki Dominiki pokryła się po białka oczu czerwonością taką, że my wszystkie potruchlały, przewidując surową reprimendę. Zakonnica milczała chwilę, jakby chciała opanować wzruszenie, skinęła ręką, aby panienki powróciły na swoje miej-

się, potem zwróciwszy się do mnie rzekła zdławionym głosem: „Sage uns etwas vor, Mariechen." Nieprzyzwyczajona do popisywania się z mojemi skromnemi umiejętnościami, struchlałam, ale powstałam natychmiast, szukając w myśli coby wygłosić. Ta zakonnica dodała z niezwykłą u niej łagodnością: „Irgend ein „Gedicht." Wybrałam „Powrót taty" i wpatrzona w matkę Dominikę zauważyłam zaraz po pierwszych słowach że słuchaczka pobladła, a ze spuszczonych jej oczów stoczyły się dwie duże łzy na biały, sztywny kołnierz, co widząc zacięłam się nieco

w wygłaszaniu wiersza na mgnienie oka. Daleka
od zarozumiałości aby moja nieudolna, dzie-
cinna deklamacya mogła dać powód do tak
widocznego wzruszenia zakonnicy, nie mają-
cej polskiego języka, mówiłam dalej już
gładko ale ciszej, gdyż łzy, spadające z oczu
zakonnicy na kolei i we mnie wywołały
rozrzewnienie. To wszystko nie uszło baczności
zaciekawionych tym incydentem dziewcząt.
Kiedy skończyłam balladę, cisza grobowa
panowała w klasie. Zakonnica jakby ze snu
przebudzona, po dłuższej chwili podniósłszy
oczy, skinęła ręką na podziękę i poleciła mi
abym w czasie pauzy objaśniła koleżankom

treść wzgłoszonego wiersza, „des grössten Dichters Polens." Potem zakuczało w klasie: „Wierdanken schön, Mariechen". Matka Dominika podjęła lekcję ze wszystkim sobie spokojem i powagą, ale uczennice były roztargnione, udzielały sobie cichaczem uwag nad Frau, „der harten Mutter Dominika."
W czasie pauzy obległy mnie panienki i z wyższych klas dla wysłuchania treści ballady. Po ostatniej lekcji, która znowu na matkę Dominikę przypadała, stała ona przyjęty un wycrajem w drzwiach, przez które parami wychodziły uczennice z klasy. Kiedy do drzwi

się zbliżyłam, matka D. pogłaskała mnie po głowie i cichym głosem rzekła czystą polszczyzną „Dziękuję ci serdecznie moje dziecko." Wzruszona dźwiękiem ojczystej mowy chciałam ucałować rękę zakonnicy, lecz umknęła mi jej szybko. Choć zajście to trwało tylko okamgnienie, nie uszło oczu i uszów ciekawych koleżanek; już na schodach molestować mnie poczęły o to, co i w jakim języku powiedziała mi matka D. ale nic się nie dowiedziały odemnie. Pędziłam do domu, aby się z matką podzielić wiadomością o tajemniczem zajściu. Zaraz nazajutrz zakonnica przybrała swój zwykły, surowy i zimny wyraz twarzy

a badawcze oczy małych córeczek nie mogły się dopatrzyć najmniejszej różnicy w zachowaniu się jej w stosunku do mnie.
W kilka tygodni po tem zdarzeniu, zupełnie przypadkiem doszła nas wiadomość, wyjaśniająca tę sprawę. Matka D., na świecie Ida v. Rosenheim, była jedynaczką bogatego arystokraty, posiadającego w Poznańskiem rozległe dobra. Mając lat 17 Ida poznała młodego, pięknego człowieka z jednej z najznakomitszych rodzin w Księstwie. Młodzi pokochali się, lecz ojciec panny na związek córki z Polakiem zezwolić nie chciał. Ida posłuszna woli rodziców wyrzekła się swego

szczęścia i z licznych konkurentów żadnego nie wybrawszy, w lat kilka za znaczne swoje wiano nabyła w Erfurcie stare zabudowanie poklasztorne i ufundowała zakon S.S. Urszulanek, stając się wkrótce nieposlednią siłą w zawodzie nauczycielskim, jak i w administracyi zakładu, stworzonego jej sumptem.

Liczyłam wówczas dopiero rok 12. i o romantyczności nic nie wiedziałam, mimo to historya nieszczęśliwej zakonnicy wzbudziła w sercu mojem współczucie. Dorósłszy, dopiero pojęłam jak czułą i bolesną strunę poruszyłam w sercu matki D. Jakaż ciężką ofiarą i walką w duszy okupiła nieszczęśliwa

-zakonnica spokój, który ją cechował.
Ukochany Zely v. Rosenheim, nie ożenił się z inną, a jak się w lat wiele od pewnej Poznanianki dowiedziałam, stał się jednym z najznakomitszych szermierzy za sprawą Polski w erze Bismarcka, odznaczając się świetną wymową w parlamencie pruskim.
późniejszy ks. kardynał Ledóchowski.-

Między innemi jeszcze oprócz matki D. była w mojej klasie matka Kajetana, zdolna nauczycielka, starsza osoba, zawsze pogodna i wesoła, rozmiłowana w swoich uczennicach, które wzajemnie za nią przepadały, lecz zawojowały ją zupełnie. Gdy matka Kajetana ukara-

ła się w drzwiach, dziewczęta witały ją wrzawą, wieszały się u jej rąk, obracały nią jak frygą, aż nieraz kwef na głowie się jej zbakierował. Było to zwykły wstęp do lekcyi, która jednak odbywała się z niemiecką systematycznością. — Karą za zaniedbywanie się w nauce bywało, po dwukrotnem, bezskutecznem napomnieniu, sadowienie uczenicy w ostatniej ławce. - Za mej bytności w klasztorze siadywała tam dosyć często najstarsza wiekiem panna, Magdalena v. Schönich, ogromnego wzrostu blondynka, przepoczciwa dusza, lecz zupełnie zdolności do nauki pozbawiona. Biegle natomiast władała językami: francuzkim i angielskim, gdyż do

licznego jej rodzeństwa trzymano w domu zawsze cudzoziemki, pisać jednak ani w obcych, ani w ojczystym języku nauczyć się nie mogła. Pomagałyśmy biedaczce chętnie i usilnie, ale umysł jej był jak rzadkie sito, przez które wszystko przelatywało. Matka moja pojąć nie mogła, dlaczego p. p. Schöneich posyłali córkę do szkoły, narażając dorosłą już panienkę na upokorzenie! Dziś sądzę, że rodzice chcieli przez emulację wzbudzić w córce chęć do nauki, ale i ten sposób chybił wobec braku zdolności. Zresztą była to koleżanka dobra, łagodna, uczynna, lubiłyśmy ją i każdy jej wymarsz na oślą ławę sprawiał

nam przykrość prawdziwą.
Koleżeństwo w klasie było wzorowe i serdeczne, wynoszenie się arystokratek nad panienki z innej sfery zupełnie nie miało miejsca. Sąsiadkami w mojej ławce były: Zofia Schmidt, córka szefa światowej firmy handlu kwiatami i nasionami, zwanej „Blumenschmidt," Małgorzata v. Zetwitz, córka komendanta załogi Erfurtu, Marya Wöhner, córka prezydenta sądu, generałówna Berta v. Beeren i pułkownikówna Selma v. Manteufel. Duszą całej klasy była żywa i wesoła Zofia Schmidt. Latem przywoziła często dla poczęstunku koleżanek ogrom-

na kosze pięknych wiśni lub innych wczesnych owoców, jesienią wyborne gruszki i jabłka, nie zapominając o dziewczątkach z „Armenschule." W zimie raz, kiedy była dobra sanna, panienki odstępowały swoich pięknych sanek uczennicom z Armenschule, polecając stangretom aby obwieźli dzieci w koło miasta, a same wracały niezaz spory kawał drogi piechotą do domu. Ubogim dzieciom sprawiały takie spacery ogromną uciechę. — Był w klasztorze zwyczaj, że na miesiąc przed Świętami Bożego Narodzenia godziny robót przeznaczano na przygotowanie podarków dla biednych dziewcząt w Armenschule. Na-

możniejsze uczennice dawały na to swój materyał
uboższe tylko robotę a materyału dostarczał
klasztor. Ja uszyłam koszulę nocną, którą
matka przykróciła i mitynki włóczkowe,
robotą szydełkową. W dzień B. Narodzenia
zaraz po mszy św. udawała się cała nasza
szkoła do Nonnenschule, gdzie w największej
sali stało pięknie przystrojone i oświetlone
drzewko a po odśpiewaniu kolęd (Weihnachts-
lied) rozdzielały zakonnice ubogim dzieciom
dary w postaci bielizny, ciepłych pończoch,
mitynek, kaftaników, czapeczek, szalików
i chustek, wszystko naszej roboty; klasz-
tor fundował drzewko, owoce, pieczywo i łakocie,

Zofia Schmidt jabłka i orzechy, koleżanka, p. Elkan, córka księgarza i wydawcy dostarczała książeczek. Po rozdaniu darów i wzajemnem życzeniu sobie: „Fröliche Weihnacht" rozchodziłyśmy się w nastroju miłym, jaki daje zawsze spełnienie dobrego uczynku.

Wyjazd z Erfurtu

Pożegnanie nasze z klasztorem było nader serdeczne. Zakonnice - nauczycielki wyraziły rodzicom moim uznanie dla mnie, a matka Dominika całując mnie w czupryne rzekła widocznie wzruszona: „Liebes Kind,

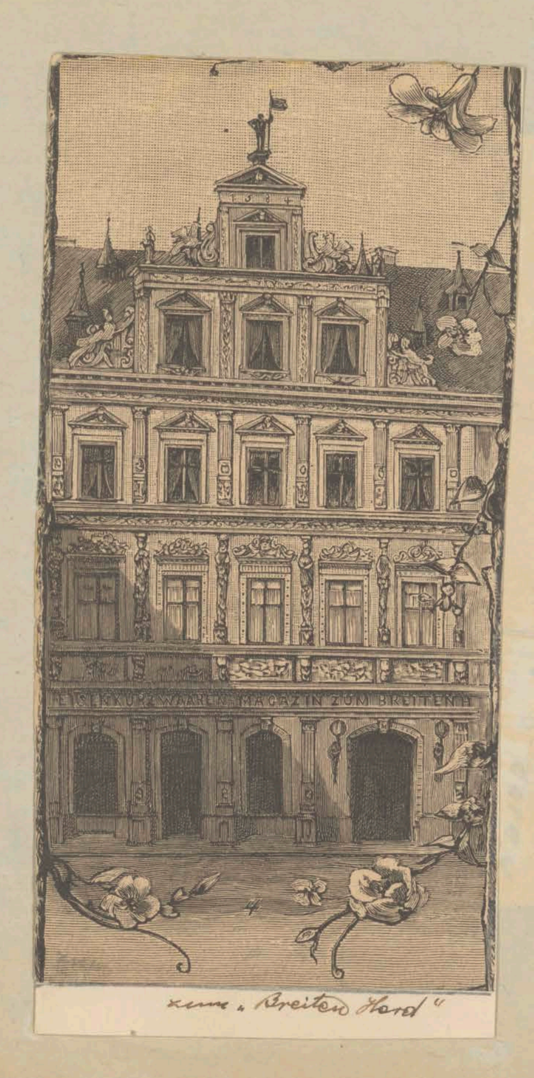
bleibe fernerhin so brav wie du bist jetzt gewesen und behalte uns im guten Andenken." Pożegnanie z klasą nie obeszło się bez łez... Kiedy naczajutrz o świcie przybyliśmy na dworzec kolei, zastaliśmy moją Tarę szkolną w komplecie, ale także panie v. Beeren, Zetwitz i Schöneich z poczciwą Magdaleną "z oślej ławki". Ten dowód sympatyi poruszył nas, w szczególności ojca mojego, który raz wraz okulary przecierał. Gdy pociąg ruszał wołały dziewczątka: "Schreibe uns, schreibe uns, Mariechen!" Rzecz dziwna, że ja, z natury beksa, suche miałam oczy, choć serce biło mi mocno; na myśl że z kochanymi rodzicami powracam do

domu, radość brała górę nad smutkiem. Zaledwie że śmy trochę ochłonęli z doznanych wrażeń i poczęli wypowiadać się o nich, na stacyi Weimar zastaliśmy poczciwych Hartów ze starszymi dziećmi i Grosspapą. Krótkie ale serdeczne było pożegnanie — na zawsze!...

Przyznać się i oskarżyć muszę, że duża część pożegnania serdecznego należała się mojej dobrej matce; tak, ja nie okazałam się godną tej przyjaźni i sympatyi, co sobie dziś jeszcze wyrzucam. Po latach kilku osiadłszy się w ojczystem mieście, wśród kochanej rodziny, przyjaciół i znajomych, pływałam w szczęściu jak ryba w wodzie. Nowe wrażenia zatarły dawniejsze i mimo

upominania, że strony rodziców, nie zdobyłam się na podtrzymanie stosunku z pokrewnemi Niemkami.

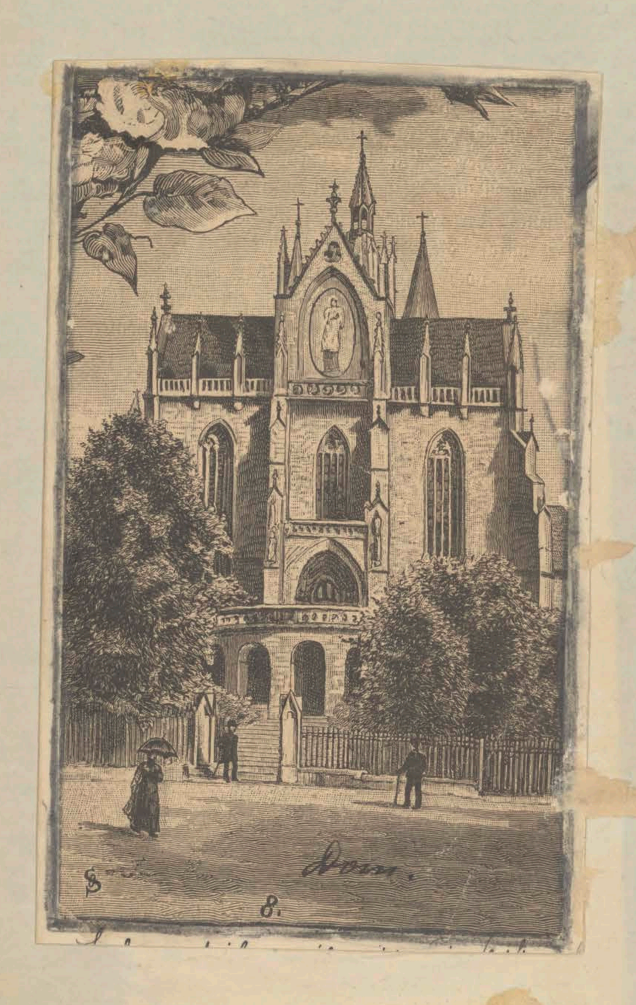
Czytelników moich może razić będzie zbytek sympatyi, okazywanej Niemcom. Na tłomaczenie niech posłuży najpierw punkt widzenia i wrażenie dziecka, powtóre, że nie opisuję Prusaków, z którymi się prawie nie stykałam, tylko Sasów, wreszcie, że opisałam Niemców z przed r. 1870, po którym upojeni zwycięstwem nad wielką Francyą, uniesieni bezgraniczną pychą, nadymali się przez lat blizko 50 a nażarłszy się naszą krzywdą, pękli jak mityczny wawelski smok.



zum „Breiten Herd"



Regierungsgebäude.


Dom.
8.





Eingang zur Petersburg.



Durchgang zur Krämerbrücke am Wenigenmarkt.

114